Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 1. Maja 1881 r. Tom XII.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 18.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—11 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

MICHAŁKO

OPOWIADANIE

BOLESŁAWA PRUSA.

(Ciąg dalszy.)

Wieczorem, jak zwykle, mularze rozbiegli się. W nowym domu został na nocleg Michałko i dziewucha.

— Nie idziesz? — spytał ją chłop zdziwiony.

— Gdzież pójdę, kiedy powiedział, że mnie wygna...

Teraz dopiero Michałko zaczął się czegoś domyślać.

— Toś ty z nim siedziała? — rzekł z odcieniem żalu w głosie.

— A jużci, — szepnęła zawstydzona.

— I jemuś wszystek swój zarobek oddawała, choć cię bijał?...

— A ino...

— Po cóżeś ty tak paskudnie robiła?...

— Bom go lubiła — odparła cicho dziewka, kryjąc się między słupy rusztowań.

Chłopu stało się tak, jakby go kto nożem kolnął. Nie darmo ludzie śmieli się z niego.

Michałko przysunął się do dziewki.

— Ale teraz nie będziesz go lubić?— zapytał.

— Nie! — odparła i zaczęła rzewnie płakać.

— Ino mnie będziesz lubić?

— Tak.

— Ja cię nie będę rozbijał, ani twoich pieniędzy zabierał.

— Jużci prawda!

— Ze mną będzie ci ładniej...

Dziewucha nie odpowiedziała nic, tylko płakała jeszcze mocniej i trzęsła się.

Noc była jakaś chłodna i wilgotna.

— Zimno ci? — spytał chłop.

— Zimno.

Posadził ją na kupie cegieł, szlochającą. Zdjął parciankę i otulił dziewuchę, a sam został w jednej koszuli.

— Nie płacz!... nie płacz! — mówił.— Tylko jedną noc przesiedzisz tak. Masz przecie rubla, to jutro wynajmiemy za niego stancję, a spódniczynę — już ja ci sam kupię, za swoje. Ino nie płacz...

Ale dziewucha nie zważała na to, co mówił Michałko. Podniosła głowę i słuchała. Zdawało jej się, że z ulicy dolatuje odgłos znajomych kroków.

Stąpanie zbliżało się. Jednocześnie ktoś zaczął gwizdać i wołać:

— Chodź do domu... Ty!... Gdzie tam jesteś...

— Tu jestem! — zawołała dziewucha zrywając się.

Wybiegła na ulicę gdzie stał czeladnik.

— Tu jestem! — powtórzyła.

— A pieniądze masz? — spytał czeladnik.

— Mam!... O tu... Naści! — rzekła, podając mu rubla.

Czeladnik schował rubla do kieszeni. Potem schwycił dziewkę za włosy i zaczął ją bić, mówiąc:

— A na drugi raz słuchaj, bo cię na próg nie puszczę... Rublem się nie wykupisz...

A słuchaj!... a słuchaj! — powtarzał, okładając ją pięściami.

— O dla Boga!... — wołała dziewka.

— A słuchaj!... A słuchaj, co ci każę..

Nagle puścił dziewuchę, czując, że go ujęła za kark potężna ręka. Z trudnością odwrócił głowę i zobaczył roziskrzone oczy Michałka.

Czeladnik był chwat mazur, więc grzebnął Michałka pięścią w łeb, aż mu w uszach zadzwoniło. Ale chłop nie popuścił mu karku. Owszem ścisnął jeszcze lepiej.

— A uduś mnie ty złodziejski portrecie... to zobaczysz! — szepnął chrapliwym głosem czeladnik.

— To jej nie bij — rzekł chłop.

— Nie będę — mruknął i wysadził język.

Michałek otworzył garść, a czeladnik aż się zatoczył. Złapał kilka razy powietrza, a potem przemówił:

— Kiedy nie chce, żebym ją bił, to niech za mną nie chodzi. Lubi mnie, to i owszem, ale ja biję, bo mam taki obyczaj!... Co mi po dziewce, żeby jej walić nie można?... Niech idzie na złamanie karku...

— To pójdzie... Wielka rzecz! — odparł chłop.

Ale dziewucha złapała go za ręce.

— Daj ty już spokój — mówiła do Michałka, drżąc i ściskając go. — Nie mięszaj się między nas...

Chłop oniemiał.

— A ty chodź do domu — rzekła do czeladnika, biorąc go pod ramię. — Co cię tam kto ma poniewierać na ulicy...

Czeladnik wyrwał się jej i rzekł ze śmiechem:

— Idź sobie do niego! On cię nie będzie bił... On ci przecie pieniądze dawał...

— Iii!... daj mi tam spokój... — ofuknęła dziewucha i poszła naprzód.

— Widzisz, z babą trzeba jak z psem!... — rzekł czeladnik, wskazując ręką na dziewuchę. — Wal ją, a ona za tobą w ogień pójdzie...

I zniknął. Tylko w ciszy nocnej rozlegał się jego śmiech złośliwy.

Chłop stał, spoglądał za niemi, przysłuchiwał się. Następnie wrócił między rusztowania i patrzył na to miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą siedziała dziewucha.

W głowie czuł zamęt, a piersiami nie mógł tchu złapać. Ledwie co powiedziała mu, że już tylko jego będzie lubić, i zaraz

odeszła. Dopieroco, on był taki szczęśliwy, tak było tu dobrze z żyjącą istotą, jeszcze z dziewuchą, a teraz, jakże mu pusto i smutno!...

Dlaczego ona odeszła?... Juźci dla tego, że taka była jej wola, tak jej się podobało!... Cóż on na to poradzi, chociaż jest dobry i silny?... Instynktownie szanował jej przywiązanie do czeladnika, nie gniewał się, że daną mu obietnicę złamała, nie myślał narzucać jej gwałtem swoich uczuć. Ale pomimo to tak mu było żal jej, tak było żal... I co by jej szkodziło zostać z nim, który przecie nikogo nie miał?

Wyżartemi przez wapno rękami otarł oczy i podniósł swoją parciankę, rozrzuconą na stosie cegieł i jeszcze jakby ciepłą. Wyszedł znowu na ulicę, postał tam.

Nic nie widać, tylko, wśród mgły, połyskują czerwone ogniki latarń.

Wrócił między chłodne mury i legł na ziemi. Ale zamiast spać, wzdychał ciężko, samotny, tęskniący za swoją dziewuchą.

Za swoją, bo ona przecie sama powiedziała mu, że tylko jego będzie lubić!

Nazajutrz wziął się chłop, jak zwykle, do roboty. Ale szła mu nie sporo. Był znużony, a i ten budynek jakoś mu obmierzł. Gdzie stąpił, czego się dotknął, na co spojrzał, wszystko przypominało mu dziewuchę i gorżki zawód. Ludzie także kpili z niego i wołali:

— A co, głupi Michałku, prawda, że drogie dziewki w Warszawie?

Drogie — bo drogie! Chłop wydał na swoją wszystkie oszczędności, przymierał z głodu, nic sobie nie sprawił, nie miał z niej żadnej pociechy i jeszcze go tak brzydko opuściła.

Źle mu tu było, wstyd. Więc gdy usłyszał, że w Warszawie lepiej płacą pomocnikom mularskim, wybrał się tam, pierwszy raz.

Szedł za jednym czeladnikiem, który obiecał zaprowadzić go na ulicę, gdzie najwięcej domów stawiają.

Wybrali się wczesnym rankiem i tęgi kawał czasu sunęli do Wisły. Chłop kiedy most zobaczył, aż gębę otworzył. Na tę chwilę i dziewucha wywietrzała mu z głowy.

Przy budce strażniczej zawahał się.

— Co ci to? — spytał ów czeladnik.

— Nie wiem, panie, czy mnie tędy puszczą? — odparł Michałko.

— Głupiś! — zgromił go czeladnik. — Jakby cię kto zaczepił, to mu powiedz, że idziesz ze mną!

— Juźci prawda — pomyślał chłop i dziwił się, że mu taka odpowiedź pierwej do głowy nie przyszła. Potem dziwił się łazienkom i berlinkom, że nie tonęły na wodzie, choć takie wielkie a potem nie mógł dać wiary, żeby cały most, był z czystego żelaza.

— Musi w tem być jakieś złodziejstwo — mówił do siebie. — Tyle żelaza, to chyba na świecie nie ma.

Tak sobie szli, czeladnik i Michałko, jeden za drugim, przez most, przez Nowy-Zjazd, przez ulicę. Koło zamku chłop zdjął czapkę i przeżegnał się, myśląc że to kościół.

Przed Bernardynami mało go omnibus nie rozjechał. Przed figurą Matki Boskiej, obok dobroczynności, chciał uklęknąć i pacierz mówić, tak, że ledwie odciągnął go czeladnik.

Na ulicach hałas, powozów szeregi, ludzi tłum. Michałko jednym ustępował z drogi, na innych wpadał i aż bladł ze strachu, żeby go nie wyprali. W końcu, w głowie mu się na szczęt zamąciło —i— zgubił czeladnika.

— Panie!... panie! — począł krzyczeć zrozpaczony i pędem biegł przez ulicę.

Ktoś go zatrzymał, mówiąc:

— Cicho ty sobaka!... Tu krzyczeć nie wolno!

— A bo mi mój pan zginął.

— Jaki pan?

— Czeladnik mularski.

— Oto pan... A gdzież tobie potrzeba?

— Tam gdzie dom murują...

— Jaki dom?

— Taki... z cegły — odparł chłop.

— O głupi!... No to i tutaj dom murują... I tam!... I tu!

— Kiedy nie widzę...

Wzięto go za ramię i zaczęto pokazywać.

— O patrz... Tu jeden dom budują... Tu drugi...

— A ha! ha! — rzekł Michałko i poszedł do tego drugiego, bo nie trzeba było przebiegać przez ulicę.

Dobrawszy się na miejsce, zapytał o czeladnika. Tu go jednak nie znalazł, więc wskazano mu inny dom. Ale i tam o czeladniku Nastazym nie słyszano; musiał przeto chłop iść dalej.

Tym sposobem obiegł kilka ulic i obejrzał kilkanaście rozpoczętych budowli, pytając się w duchu: gdzie ci ludzie mieszkają, co im dopiero teraz domy murują?

Stopniowo oddalał się od środka miasta. Gwar uliczny słabnął, przechodnie ukazywali się rzadziej, powozów prawie nie było. Za to liczba rusztowań, stosów cegieł i czerwonych murów powiększyła się.

Chłop stracił już nadzieję znalezienia czeladnika i pomyślał o wyszukaniu roboty.

Wstąpił do pierwszej fabryki przy drodze, stanął między robotnikami i patrzył. Czasami wmięszał się do rozmowy, albo komu usłużył. Jednemu pomógł układać cegłę, drugiemu podał szaflik, a tym co gracowali wapno, powiedział, że nie tak się robi, tylko tak. I zaraz pokazał, aż ochlapał majstra od stóp do głów.

— Co ty się tu kręcisz kundlu jakiś? — zapytał go pisarz.

— Roboty szukam, panie.

— Tu nie ma dla ciebie roboty.

— Nie ma teraz, to może znajdzie się potem. A państwu przecie nie ubędzie, jak któremu pomogę.

Pisarz, sprytna sztuka, zmiarkował, że chłop nie musi pachnąć groszem. Wyjął swoją książeczkę, ołówek, zaczął przekreślać, rachować — i — w końcu przyjął Michałka.

Ludzie mówili, że zarabiał na nim dwadzieścia groszy dziennie — *extra*.

W tej fabryce był chłop do jesieni. Z głodu nie umarł, za nocleg nie zapłacił ale też nawet butów sobie nie kupił. Tyle tylko, że upił się pary razy przy świętej niedzieli, jak wieprzak. Chciał nawet awanturę zrobić w szynku, ale mu czasu zabrakło, bo go wyrzucili za drzwi.

Dom rósł jak rzerzucha. Jeszcze oficyn nie wykończyli mularze, a już front był dachem obity, otynkowany, oszklony i nawet ludzie zaczęli się sprowadzać.

W końcu września rozpadały się deszcze. Robotę przerwano i pomocików odprawiono. W ich liczbie był Michałko.

Pisarz z tygodnia na tydzień urywał mu coś z płacy, mówiąc, że razem odda. Gdy zaś przyszedł obrachunek ostateczny, chłop, choć nie piśmienny, zmiarkował, że go chyba pisarz oszwabił. Dał mu trzy ruble, a należało się z pięć albo i ze sześć.

Michałko wziął trzy ruble, zdjął czapkę i zaczął skrobać się w głowę, przestępując z nogi na nogę. Ale pisarz był tak zajęty swoją książeczką, że ledwie w dziesięć pacierzy spostrzegł chłopa i spytał go surowo:

— No czego jeszcze chcesz?

— Musi, panie, mnie się więcej należy — rzekł chłop z pokorą.

Pisarz zaczerwienił się. Wlazł na Michałka, potrącił go piersiami i powiedział:

— A paszpot ty masz?... Coś ty za jeden?...

Michałkowi zamknęło gębę, a pisarz mówił dalej:

— Ty może myślisz, chamski gnacie, żem ja cię nakręcił?...

— A ino...

— Więc chodź ze mną na policję, a ja ci tam dokumentnie pokażę, żeś ty złodziej i obieżyświat...

Paszport i policja zaniepokoiły Michałka. Rzekł zatem:

— Niech tam moja krzywda będzie panu pisarzowi na zdrowie!

I opuścił fabrykę.

A że widać i pisarza nie bardzo ciągnęło do policji, choć go tam znali, więc skończyło się na strachu...

(Dokończenie nastąpi.)

O PESYMIZMIE

podług dzieła: „Pessymism, a history and a criticism by James Sully"

przez

WŁADYSŁAWA KOZŁOWSKIEGO.

I.

Znaczenie optymizmu i pesymizmu znanem jest powszechnie. Są to dwa, wręcz sobie przeciwne, sposoby zapatrywania się na sprawy tego świata, dwa różne sposoby pojmowania życia ludzkiego. Optymizm widzi wszystko w kolorach różowych, a chociaż przyznaje, że nie wszystko w świecie jest dobrem, że życie ludzkie wiele pozostawia do życzenia — utrzymuje, że s uma do-

brego znacznie przewyższa sumę złego i że to złe, będąc tylko przejściowem, ma w życiu takie same znaczenie, jak cień w obrazie. Przeciwnego mniemania jest pysymizm. Twierdzi on, że istotę życia ludzkiego, jego treść stanowią cierpienia, że radość i szczęście, jeżeli w niem zdarzają się kiedy, należą do zjawisk przelotnych i są prostem złudzeniem umysłu, nie mającem żadnej wartości przedmiotowej.

Dwa te sposoby pojmowania życia ludzkiego stare są i odwieczne, jak samo doświadczenie ludzkości, jak jej nadzieje i zwątpienia, smutki i pociechy, zachwyty szczęścia i rozpacze. W pierwotnej swej postaci opierają się one mniej na rozwadze, a więcej na uczuciu, i są prostem wypowiedzeniem wrażeń, jakich dusza ludzka doznaje w zetknięciu się z warunkami codziennej rzeczywistości. Charakter rozumowy przybrały one dopiero w czasie późniejszym, kiedy duch ludzki, przychodząc do świadomości siebie, zapragnął zdać sobie sprawę z tego, co się w nim i w koło niego dzieje. Pesymizm i optymizm, pokąd są naturalnym wylewem uczuć, przemawiają do świata szeregiem obrazów, oddziaływających na wyobraźnię i wzruszających serce; w miarę zaś, jak zaczyna w nich przeważać rozwaga, zastanowienie się, starają się one mniej wzruszać, a więcej przekonywać. Miejsce efektownych obrazów zajmują w nich ściśle rozumowanie, umiejętne wywody, nagromadzenie dowodów, odpowiednich wymaganiom rozumu.

Ściśle rozumowy charakter nadał optymizmowi Lejbnic, który wychodząc z zasady, że świat ten jest najlepszym ze wszystkich, jakie mogły być stworzone, ustanowił doktrynę filozoficzną, upatrującą w złem środek konieczny do dobrego. Dla pesymizmu zrobił to samo Schopenhauer, który przedrzeźniając Lejbnica, zawyrokował, że świat ten jest najgorszym ze wszystkich, jakie mogły być stworzone.

W ten sposób pojęte i doprowadzone do ostatecznych swych wyników, optymizm i pesymizm występują przeciwko sobie, jako dwa znoszące się wzajemnie pojęcia, są tem dla siebie, czem w algiebrze ujemne i dodatnie ilości. Z taką wyłącznością nie występują one ani w historji, ani w życiu codziennem. Jedynym, pod tym względem, wyjątkiem jest indyjski budaizm, prototyp Schopenhauerowskiego pesymizmu. Wszędzie indziej najrozpaczliwsze pojęcia o życiu zawierają w sobie jeszcze coś, co łagodzi ponurość obrazu, jakiś promyk nadziei, jakąś okruszynę wiary w coś lepszego i wznioślejszego, co podnosi umysł i hartuje serce. Potępiając obecny stan rzeczy, można jeszcze wierzyć w postęp i przedstawiać sobie przyszłość w różowych kolorach; uważając życie doczesne za padół płaczu, można w niem widzieć drogę do wiecznej szczęśliwości. Słowem, będąc pesymistą w jednem, można być optymistą pod innemi względami.

Zadaniem niniejszej pracy jest zbadanie, o ile można, dokładne zasadniczych twierdzeń pesymizmu. Za podstawę rozbioru wzięty jest pesymizm w tej formie, jaką mu nadali Schopenhauer i Hartman, a to dla tego, że oni ostatecznie usystematyzowali go, pod wszystkie jego twierdzenia podłożywszy rozumową zasadę i oszańcowawszy ją za pomocą wszelkich sposobów, jakich im dostarczyły sztuka dyalektyki i nauki przyrodnicze. W tej ostatniej postaci mieszczą się wszystkie pytania, jakie kiedykolwiek były podnoszone przez pesymizm i optymizm, rozpatrzone są wszystkie strony życia ludzkiego. Jest to więc twierdza, po której zdobyciu cały kraj staje otworem dla nieprzyjaciela. Rozprawiwszy się z pesymizmem niemieckim, zburzywszy jego założenia, pokonywamy zarazem wszystkie jego formy mniej rozwinięte i nie tak ściśle oznaczone w swych granicach.

Wprzód atoli, nim do tego przystąpimy, rzućmy okiem w przeszłość i prześledźmy wśród pasma dziejów myśli i uczucia wijącą się nić pesymistycznych poglądów na życie ludzkie i na wszystkie w ogóle sprawy tego świata.

Zaczniemy od pesymizmu uczuciowego, w którym należy odróżnić trzy gatunki: indywidualny, mający za przedmiot życie jednostki, narodowy, rozważający losy pewnego narodu i kosmopolityczny, podciągający pod wspólny punkt widzenia całą ludzkość. Ten rodzaj pesymizmu spotyka się tu i ówdzie w Biblji, chociaż główne tło jej stanowi optymizm narodowy. Świadczą o tem pojedyńcze ustępy psalmów, a głównie Ekklesiastes Salomona, pełne zwątpienia, kończące rozpaczliwem wołaniem: Próżność próżności! wszystko jest próżność!.. Nie jest on obcym także literaturom greckiej i rzymskiej. Pomijając Hezioda i Homera, u których rzadko tylko daje się słyszeć ponury dźwięk zwątpienia wśród optymistycznego poglądu na życie ludzkie, zostające pod opieką bogów, najdosadniej wypowiedzianym jest on w elegiach Teognisa. Powiada on w jednem miejscu: „lepiej byłoby dzieciom ziemi nie rodzić się wcale, a przynajmniej, jeżeli już muszą się rodzić, to jak najwcześniej przekroczyć wrota Hadesu!“ Ta sama myśl, w odmiennej tylko formie, powtarza się w greckiej tragiedji u Sofoklesa, Eschyla i Eurypidesa. W rzymskiej literaturze znane są powszechnie Cyceronowskie wyrazy: O, tempora, o, mores! wymownie świadczące o duchu, który je natchnął. Pieśni Horacego, mimo Epikurejskiego pokostu, pełne są także ustępów, w których pesymistyczny nastrój owej epoki wypowiada się dokładnie. Dosadnym jego wyrazem są napisy grobowe z owych czasów. Jeden z nich brzmi: „Byłem niczem i jestem niczem, i ty, który jesz, pijesz, zabawiasz się... Przyjacielu, który to czytasz, używaj życia, albowiem po śmierci nie masz zabaw, nie masz śmiechu, ani radości... com zjadł, com wypił, to tylko zabieram z sobą, wszystko inne zostawiam po za sobą!“... Głębokim pesymizmem przejęta jest nauka Stoików. Marek Aureliusz woła: „O, śmierci, nie zwlekaj ze swym przyjściem!“ Pliniusz Starszy, porównywając życie ludzkie ze zwierzęcem, utrzymuje, że tylko zwierzę może być do pewnego stopnia szczęśliwem.

W nowszej literaturze duch pesymizmu rozpanoszył się szczególniej w początkach dziewiętnastego stólecia. Przedstawicielami jego w literaturze zachodniej są: Byron, Heine, Lenau, Leopardi, Lamartin. W każdym razie, pesymizm ten, z jakim spotykamy się w dziełach romantycznej poezji, ma to właściwego, że nie wyraża on ani zwątpienia w naturę ludzką, ani rozpaczy o losach ludzkości. Z poza ponurych obrazów, jakiemi odmalowana jest obecność, prześwieca, niby zorza poranna, promienna postać ideału, napełniającego serca otuchą i nadzieją lepszej przyszłości. Jedynym pod tym względem wyjątkiem są zaledwie poezje Leopardi'ego, Włocha, który woła: „Spocznij serce na wieki! Przestań uderzać. Nic tu nie ma godnego twych poruszeń, ziemia nie warta ani jednego westchnienia. Życie nie jest czem innem, jak goryczą i udręczeniem; błotem zaś świat cały. Uspokój się na zawsze, i pozbądź się wszelkiej nadziei na przyszłość. Rodzajowi ludzkiemu przeznaczenie dało śmierć tylko. Wzgardź sobą naturo i wszystkiemi potęgami, które w tobie ukryte działają na powszechną zagładę i dążą do znicestwienia wszystkiego.“

Ciekawym także zabytkiem pesymistycznej literatury jest utwór sławnego filozofa niemieckiego Schelinga, wydany pod pseudonimem Bonawentury: *Nachtwachen*. W nim życie ludzkie nazwane jest tragikomedją, która nie warta jest przedstawienia i w której występują najlichsi aktorowie. Ludzie nie są czem innem, jak zamaskowanemi niebytami. Przez otwory maski przeziera oblicze śmierci i życie jest po prostu czapką błazeńską z dzwonkami, którą niebyt wstrząsa dla igraszki, a następnie szarpie ją na kawałki i niszczy na zawsze.. Naśladując Szekspirowskiego Hamleta, zapytuje on: „Czemże jest ten gmach, w którym się mieści świat i niebiosa, ten zamek wspaniały, w którym miłość i zachwyt wykonywają swe czarodziejstwa, ów mikrokosmos, w którym wszystko, co jest wielkie i sławne, straszne i okrutne, spoczywa obok siebie w ziarnie, który stwarza świątynie i bogów, inkwizycje i djabłów? Czem jest to arcydzieło stworzenia — głowa ludzka? — Przybytkiem robaków!... O, czemże jest świat cały, jeżeli to, co go pojmuje, jest niczem, jeżeli to, co w niem się dzieje, jest tylko przelotnem złudzeniem!“...

W naszej literaturze, tak samo i w całem usposobieniu narodowem przeważa w ogóle nastrój optymistyczny. Posępna nuta pesymizmu odezwała się wyraźniej dopiero po rozbiciu ojczystej nawy. Lecz i wtedy, chociaż straszna rzeczywistość przytłoczyła pierś narodu kamieniem grobowym, duch jego nie stracił wiary w przyszłość. Na swe męki i cierpienia znalazł pociechę w przekonaniu, że cierpi dla dobra całej ludzkości, że jest ofiarą krwawą dla zadość uczynienia sprawiedliwości Bożej. Przekonanie to stanowi właśnie treść *mesjanizmu*, którego głównemi apostołami byli Mickiewicz i Krasiński. Jakkolwiek doktryna ta od tego czasu wiele straciła na swej wziętości, nie przestaliśmy przecież być optymistami w pojmowaniu naszej przeszłości, w łatwem poddawaniu się złudnym nadziejom i w niezachwianej wierze w przyszłość. Pesymistami stajemy się tylko wtedy, gdy chodzi o obecną rzeczywistość, która, jak powiada Krasiński, jest...

smętarzem z łez, ze krwi i błota!

Pesymizm tego rodzaju najsilniej wypowiada się w poezjach Malczewskiego, Goszczyńskiego, Słowackiego i w powieściach Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Bolesław Jabłoński.

(Ks. EUGENIUSZ TUPY.)

W niedzielę, dnia 13. marca, w poobiednich godzinach, przedstawiała tak zwana „Mała strana“ (Mała strona), przedmieście Pragi, wspaniały widok. Ze strahowskiego klasztoru, stojącego

*

wysoko nad dolnem, właściwem miastem, posuwał się olbrzymi, żałobny korowód. Nad głowami tysięcy ludu wszystkich stanów powiewały proporce, oznaki różnych towarzystw literackich i innych, a na samym końcu tysiącznego tłumu wychylał się z pomiędzy głów ludzkich żałobny wóz, na którym spoczywała trumna, zawierająca w sobie zwłoki jednego z najstarszych przewodników czeskiego narodu. To lud Pragi i wysłańcy czeskich miast towarzyszyli Bolesławowi Jabłońskiemu, jednemu z najstarszych poetów odrodzonego narodu do grobu.

Bolesław Jabłoński (właściwe imię Karol Eugeniusz Tupy), urodził się 14. lutego 1813 r. w Kardaszowej Rzeczycy, z ubogich rodziców, jak prawie wszyscy przewodnicy odrodzonych Czechów. Za przyczyną księdza katechety swego rodzinnego miasteczka dostał się Tupy do gimnazjum. Już w czwartej klasie gimnazjalnej zaczął przyszły poeta drobne wierszyki pisać. Czasy, w których się młody Tupy kształcił, były dopiero początkiem narodowego boju Czechów, który dni obecne tryumfem wynagrodziły.

Panowały tam wówczas jeszcze te same stosunki, jakie dziś na Pruskim Szlązku widzidzimy. Szlachta, albo wyginęła na Białej Górze, albo opuściła kraj po przegranej bitwie, albo, zostawszy w Czechach, zniemczała. Lud, pozbawiony naturalnego przewodnika, pogrążony jeszcze w zupełnej, politycznej bezwiedzy, żył bezmyślnie przez całe wieki, nie troszcząc się o narodowe ideały, których nie rozumiał. Burżoazja, która się wszędzie, wskutek materjalnego egoizmu, „silniejszego“ czepia, zapomniała zupełnie o swem czeskiem pochodzeniu. Z przebiegiem wieków przestały być Czechy, niegdyś naród znany w Europie, równorzędną innym ludom potęgą, a nawet, zdawało się, wygasły zupełnie. Szlachta, inteligencja i mieszczaństwo wyparli się czeskiego pochodzenia i języka, który tylko jako kopciuszek przy bezwiednym, martwym ludzie, jako „narzecze gminu“ został. Kto chciał za wykształconego i przyzwoitego człowieka uchodzić, mówił po niemiecku, gardząc „językiem chłopów,“ a dzieci strzechy wiejskiej, gdy się po miejsku przebrały, wstydziły się wręcz mowy swych ojców i matek. Te same stosunki widzimy jeszcze dziś na Pruskim Szlązku, mimo wielu, inaczej twierdzących deklamacji.

Lecz w ludzie spowity duch nie wygasa bez powodu. Czeka on spokojnie na *swój czas*, a gdy ten czas nadejdzie, odzywa się głośno, a namiętnie: jestem! Już przy końcu XVIII w., gdy nad Europą oddech swobodniejszych przekonań powiał, gdy się idea narodowościowa z gruzów idei państwowej Ludwików wytwarzać zaczęła, znalazł się w Czechach ks. Pijar Gelazjusz Dobner (1719—1790), który się szczerze historją i językiem czeskim zajął. Przyszedł niebawem i Józef Dobrowsky (1753—1829,) który bojaźliwe początki Dobnera ze samowiedzą i wyraźnem już przekonaniem podjął. Stanęli i Faustyn Prochaska (1749—1809), Jan Rulika (1744—1812), Maciej Kramerius (1759—1808), Jan Hybl (1786—1834) i wielu innych do boju o niezależność czeskiej myśli i czeskiego języka. Lecz pierwszym samowiednym Czechem, w nowoczesnem rozumieniu, był właściwie dopiero *Józef Jungmann* (1773—1847). On to jest prawdziwym twórcą narodowej idei, patrjarchą całej literatury czeskiej XIX w. Na niego odwołują się czescy narodowcy, jak się kiedyś na Karola Miarkę wnuki dzisiejszych Górnoszlązaków ze czcią i uwielbieniem oglądać będą. Jungmanna „Historja literatury czeskiej“ dała pierwsze hasło do dzisiejszej, dumnej walki za równouprawnienie czeskiego języka, za swobodę czeskiego narodu.

Niebawem przeszła też literatura czeska od piewszych przedwstępnych naukowych prac do właściwej swej czynności. Odkryte w roku 1817 dwa rękopisy: Królodworski i Zielonogórski (Rukopis Kralodworsky a Zelenohorsky) wpłynęły niezmiernie na ducha ówczesnej, przebudzającej się do narodowej samowiedzy młodzieży czeskiej. I już strojono lutnię do narodowej pieśni, już zaczęli: Jan Kollar (1793—1852) i Franciszek Czeladkowsky (1799—1852) narodowi swemu w czeskim śpiewać języku, już przebudził się duch narodowy, wołając głośno: jestem! Do pierwszych tych „nawolywaczów“ należy także Bolesław Jabłoński. Nauczycielem jego gimnazjalnym był suplent, K. Hruby, jeden z gorliwych patrjotów czeskich, który uczniów swoich starożytną macierz kochać uczył. Hrubemu zawdzięcza Tupy późniejszy kierunek swego ducha. Od niego pożyczał sobie młodziuchny uczeń dzieła Jungmana i książki czeskie, z których wrażliwy umysł chłopca ssał miłość do kraju. Po skończeniu nauk gimnazjalnych, kształcił się Tupy dalej w praskim uniwersytecie, gdzie bardzo pilnie wykładów Nejedlego (Nejedly) o literaturze czeskiej słuchał. Tu, w stolicy Czech, żył student z całym zastępem zdolnej młodzieży, z której później szereg narodowych wojowników wyszedł. Tu wrzało właśnie wówczas i kipiało, bo ktokolwiek się przebudził i walki za sponiewierane ideały swego narodu łaknął, spieszył do serca kraju, do starej Pragi. Tu wydał Tupy, występując już teraz jako narodowy wieszcz, pierwsze swe poezyjki, umieszczając je w czasopismach „Jindy a Nyni“ i w „Kwietach.“ Pierwsi czescy pieśniarze nie stali oczywiście na stanowisku pierwszorzędnych poetów. Byli to pionierzy późniejszej literatury, pierwsi ochotnicy we walce za niepodległość czeskiego słowa. I tylko jako tacy mają wartość. Odradzający się lud potrzebował nasamprzód samowiedzy i pewności siebie. Pomijając więc cele właściwej sztuki, poddającej się tylko rozkazom ogólno-ludzkiej estetyki, musieli pierwsi poeci czescy zapału swego i talentu do pracy wręcz tendencyjnej użyć. Pamięć czeskiej sławy zaginęła w narodzie, miłość do czeskiej przeszłości ostygła. Pierwszem więc zadaniem czeskich poetów było: wrócić tę pamięć narodowi i rozgrzać pierś całego ludu miłością do wszystkiego, co stanowi istotę czeskiej odrębności. Więc opiewali krasę ziemi, sławę starej Pragi, świetną przeszłość narodu, waleczność Żyszki i śmiałość Husa; więc apoteozowali czeskie zwyczaje i obyczaje, słowem wszystko to, co miało narodowi samowiedzę, odrębność i miłość do swojskich rzeczy wrócić.

Potrzebę i naturalność takiego kierunku widzi każdy, kto stał kiedyś u kolyski rozbudzającego się ducha narodowego, i widział, jak się proces taki niezmiernie wolno odbywa, jak trzeba wszystkich sił dobyć, aby ducha, wiekowym snem zleniwiałego, poruszyć i do samodzielnej myśli przymusić. W odradzających się społeczeństwach nie ma mowy o ogólnoludzkich pomysłach, o sztuce dla sztuki, bo ta musi wszystka politycznemu celowi służyć. Mówię wyraźnie *musi*, a kto tego nie rozumie, lepiej aby nie stawał w szeregu publicznych wojowników. Samo się przez się rozumie, że tego rodzaju literatura, ma tylko dla narodu, któremu bezpośrednio służy, wielką wartość, bo przedmiot jej nie przekracza zakresu wyłącznie narodowo-tendencyjnych celów. I Jabłoński jest wręcz narodowym *czeskim* tylko poetą, a jako taki ma tylko dla Czechów wielkie znaczenie. Już pierwsze jego poezje tchną tendencyjną miłością do kraju, bo opiewają tylko krasę i wdzięki czeskiej ojczyzny. Programatowi temu został Jabłoński przez całe życie wiernym, był przez całe życie tak prawym „wlasteneckim baśnikiem“ (wlast-ojczyzna, baśnik-poeta). Temu też kierunkowi zawdzięcza olbrzymią swoją popularność w Czechach, gdzie poezje jego obecnie w szóstem wychodzą wydaniu.

Ukończywszy studja uniwersyteckie, wstąpił Jabłoński do klasztoru Premonstrantów, mieszkających w Pradze na Strachowie, lecz jeszcze przed odbyciem nowicjatu, porzucił sukienkę kapłańską, sprzykrzywszy sobie jednostajne życie klasztorne. Wrócił znów do uniwersytetu, ucząc się praw, i występując jako amator w pierwszym czeskim teatrze Tyla. Wydany w tym czasie poemat „Trzy złote włosy“ (Trzi zlate wlasy) zwróciły uwagę szerszego koła na talent jego. W r. 1837 wyszedł pod jego redakcją almanach „Wiosna“ (Wesna). Po niejakim jednak czasie, domyśliwszy się, że mu autorstwo nie zabezpiecza życia, wrócił do klasztoru, gdzie tym razem do końca wytrwał, bo przyjął w r. 1841 kapłańskie święcenia. W ciszy klasztornej wysnuł z własnych wspomnień wiązankę prześlicznych lirycznych poezji: „Pisnim milosti.“ W r. 1847 przeznaczył go pragski opat Zeidler na proboszcza klasztoru Premonstrantek do Krakowa, na Zwierzyniec, gdzie też Jabłoński do końca swego życia pozostawał. W Krakowie żył, parafii swej i obowiązkom kapłańskim oddany, nie pisząc już prawie wcale. Zżył się wkrótce tak bardzo z bratnim narodem, że zaczął podobno po polsku pisać. Juliusz Mien powiada we felietonie „Czasu“, Jabłońskiemu poświęconym, że został po czeskim poecie cały tom polskich pieśni. Żyjąc w sąsiedztwie ojczyzny swojej, patrzył Jabłoński na szybki jej rozwój. Wszystko, o czem pierwsi poeci marzyli, za czem, jak za „niewykonalnym ideałem“ tęsknili, zamieniało się w oczach jego nadzwyczaj szybko w ciało i krew. Jak grzyby po deszczu, wyrastali ze ziemi czeskiej coraz nowsi, coraz lepsi pisarze. Już przed Jabłońskim stanęli w przednich szeregach taki Wacław Hanka (1791 do 1861), Józef Kamaryt (1797—1833), Jan Wacek (1806—1869), Karol Winazecky (1803—1869), itd. razem z nim pracowali Karol Hynek Macha (1810—1836), Karol Erben (1818—1870), Jan Koubek (1805—1854), Józef Tyl 1808—1856) Prokop Chocholouszek (1819—1764) i inni. Wszystkich tych przeżył stary Jabłoński, zawsze czerstwy na ciele, a na duchu świeży. Starych w boju za wolność słowa, steranych bohaterów zastąpili młodsi (Józef Frycz, Neruda, Halek, Eliszka Krasnohorska, Rudolf Pokorny, Jarosław Wrchlicky, Józef Sladek itd.). Już z Nerudą zmienił się pierwotny kierunek literatury, z Wrchlickim i Sladkiem dokonało się obecne, najnowsze przeobrażenie, a Jabłoński nie ustępował z placu boju, jak gdyby mu przeznaczono było, aby czekał na ostateczny tryumf haseł, za które między pierwszymi walczył. Doczekał się też rzeczywiście wypadku osta-

tniego liczenia ludności, przy którem się do czeskiej narodowości w samej Pradze 150.000 głów przyznało, w tej starej Pradze, w której jeszcze przed laty pięćdziesięciu nie mówiono na ulicy po czesku — doczekał się i „dawny komedjant“, występujący w jakiejś budzie Tyla, wspaniałego teatru wystawionego groszem całego ludu nad brzegami Weltawy — a maluczko, a doczekałby się i czeskiego uniwersytetu w Pradze. Serce „wlastenca“ biło pewno nieraz głośno, gdy go z bliskiej ojczyzny tak doniosłe dochodziły wieści.

Bolesław Jabłoński umarł w Krakowie d. 27 lutego 1881 r. Literacką jego spuściznę stanowi jeden tylko tom lirycznych i okolicznościowych poezji, lecz pieśni te były tak z gruntu czeskie, tak wręcz narodowe, że przeszły na własność całego kraju, w dosłownem tego zwrotu znaczeniu. Pieśni Jabłońskiego zna każdy Czech, śpiewa je i deklamuje każda dziewczyna, każdy chłopiec. Jabłoński był najpopularniejszym pieśniarzem narodu czeskiego. Dlatego też, kiedy wieść o śmierci jego do Pragi przeszła, postanowili tutejsi patrjoci przywieźć zgasłego z Krakowa do Pragi. Serdecznego tego obowiązku dokonał Edward Jelinek. Jabłońskiego zwłoki stanęły w Pradze trzy dni przed uroczystym pogrzebem.

Już w Krakowie pokryto trumnę poety licznemi wieńcami, bo ks. Tupy był na wpół Polakiem. Od czeskiego do polskiego narodu nie tak bardzo daleko, jak może zdala stojący mniemają; od języka, który brzmi na ulicach Pragi, do dźwięków polskich wiedzie tak niedaleka droga, iż potrzeba małych zmian, abyśmy się bez trudu rozumieli. A gdy się czyta, co nasze pisma o Czechach głoszą, gdy się prawie w każdem piśmie polskiem widzi *serdeczne* referaty o czeskiem życiu, i slyszy ciągle przyklaskiwania ich rączemu postępowi, zdawałoby się, że dwa te bratnie narody łączy rzeczywiście pasmo „bratniej“ przyjaźni. Tak też zrozumiał Kraków stosunek nasz do Czechów, kiedy trumnę Jabłońskiego dosłownie wieńcami pokrył. Niechby Czesi o tak wyraźnym objawie naszej sympatji nie zapomnieli, niechby pamiętali, że się do nich bratnio zbliżyliśmy i codziennie tych uczuć dajemy dowody. A oni? Wiele się pisze i deklamuje o tak zwanej czeskopolskiej „wzajemności“, zdala stojący wierzą może w te drukowane, przez jednego lub dwóch pisarzów podtrzymywane sympatje, ale my, którzy na miejscu będąc, widzimy z bliska tę wzajemność — czujemy się tu jak na zupełnie obcej ziemi. Przyjaciół naszych możemy na palcach policzyć, a z literatów czeskich pragnie może jedyny Edward Jelinek z *przekonania, bez pobocznego interesu*, bratniego uścisku naszej dłoni. Cokolwiek stało się w tym kierunku w Czechach, jest tylko wyłączną Jelinka zasługą. Przecież i telegramy z podziękowaniem Krakowowi, wysyłane po drodze do Pragi przez czeskie miasteczka, któremiby ktoś niewierny chciał zarzut mój odwrócić, są także Jelinka dziełem. Zapewne... nie mamy dziś nic do rozdania, bo przeszły nasze bogactwa; zapewne... odwagi potrzeba, aby się do nas przyznać. Są „silniejsze, bogatsze“ narody, do których się praktyczny Czech zbliżyć woli. Nie robimy im z tego zarzutu — bynajmniej. Niepraktyczność zabrała nasze bogactwa, więc nauczyliśmy się szanować innych ludów praktyczność. Piszę te słowa, bo wiem, że je czescy literaci będą czytali, a nawet komentowali, piszę je wyraźnie dla nich, aby je dobrze zapamiętali...

Pogrzeb Jabłońskiego odbył się, jak się wyżej powiedziało, 13. marca. Był on wielką narodową demonstracją. Tysiące ludu otaczało trumnę zgasłego poety. Przed i za wozem postępowały liczne delegacje miast, związków, towarzystw. „Koło Polskie w Pradze,“ które złożyło na trumnie laurowy wieniec z napisem „Bolesławowi Jabłońskiemu, wieszczowi bratniego narodu, Koło Polskie w Pradze“, wysłało także delegację, składającą się z 4 członków głównego komitetu, (pp: Muzyka, Filipowicz, Tscharner, Herkner, i główny prezes „Koła.“) W kościele wyszehradzkim przemówił nad zwłokami, ks. prałat Sztulc, proboszcz wyszehradzki, a nad otwartym grobem żegnał dr. Strakaty, główny prezes „Umieleckiej Besedy“, nieboszczyka gorącem i serdecznem słowem. Spokój niech będzie cieniom Jabłońskiego, brata Czecha, który na polskiej ziemi żył i umarł! Spoczywa on na wyszehradzkim cmentarzu, na westminsterze czeskim.

Teodor Jeske-Choiński.

HYMN CHORWACKI

napisał

PIOTR PRERADOWICZ

(przekład z chorwackiego)

Pobłogosław, wielki Boże,
To chorwackich serc ognisko,
Przodków naszych bojowisko,
Miłą ziemię, święty kraj,
Niech odżyje, niech się wzmoże,
Niech swym dzieciom stworzy raj.
Pobłogosław, wielki Boże,
Świętą ziemię, miły kraj.

Boże zjednocz trójjedyny
Kraj Chorwatów, wspólny, cały,
Niech nie szarpie wróg zuchwały
W marne szmaty jeden kraj.
My jednego ojca syny,
Więc nam jednę matkę daj,
Boże, zjednocz trójjedyny
Chorwackiego rodu kraj.

Krzep, umacniaj, wielki Boże,
Ród nasz sławny, ród nasz miły,
Przeciw wrogom dodaj siły,
By zwycięzko toczył bój.
Tego dnia niech błysną zorze,
Gdy już będzie tylko swój.
Krzep, umacniaj, wielki Boże,
Naród ten na każdy bój.

Boże, popraw twoich dzieci
Dolę dotąd niewesołą,
Przeciwników pogrzeb w koło,
Przyjaciołom daruj moc,
Niech i nam Twe słonko świeci
I rozproszy długą noc.
Boże, osłoń twoje dzieci,
Naszę dolę, naszę moc.

Boże, dusz lodowe pęta
Niech rozkruszą Twoje dłonie,
Niechaj każde serce płonie,
W każdem oku błyszczy żar,
Niech narodu sprawa święta
W dusze dziwny leje czar.
Boże, skrusz lodowe pęta,
W sercach święty rozpal żar.

Boże, powróć przeszłość sławną,
Sprawiedliwej nie skąp chwały,
Długo czeka lud zbolały,
By znów być, czem niegdyś był,
Zapłać nam choć za krew dawną,
Zanim nowa tryśnie z żył,
Boże, powróć przeszłość sławną,
Uczyń lud, czem niegdyś był.

Bronisław Grabowski.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Pan Bóg widocznie teraz mniej sprzyja Rusinom, odmówiwszy im pogody na święta Wielkanocne. Zdaje się, że ta delikatna przestroga niebieska, powinna być dla nich znakiem, żeby się trzymali naszej poły i wspólnej naszej klamki, inaczej bowiem nie doczekają się nigdy ani pogody politycznej, ani żadnej ekscellencji, kiedy przeciwnie my, jak nam się zechce, możemy sobie zrobić naszych Rusinów i obejdziemy się bez ich pomocy. Tam, gdzie dotąd zwracały się tęskne oczy prowodyrów — jakoś niedobrze się dzieje, car raczył usunąć się do Gatczyna, a w Petersburgu panuje humanitarny chaos. Mówię dlatego humanitarny, bo jakże sobie wytłómaczyć owe cywilizacyjne postąpienie z panem Frołowem, któremu za niedelikatne obejście się ze skazańcami, odliczono dwieście pięćdziesiąt pałek i dla zadosyćuczynienia Europie, roztelegrafowano o tem urzędownie do wszystkich dzienników. Taki czyn humanitarny rządu, jak się zdaje, powzięty na pełnej ministerjalnej radzie, dał kompletną satysfakcję opinji cywilizowanego świata, że Rosja nie jest tak barbarzyńską, jak się podobało przedstawić ją zagranicznym korespondentom. Dwieście pięćdziesiąt pałek wyliczonych panu Frołow, a ztąd niełaska, w jaką ten stryczkowy bohater popadł u sfer rządzących, daje najlepszy dowód liberalnych i humanitarnych usposobień w Petersburgu. Po takim fakcie, któż śmie powątpiewać o braku poczucia konstytucyjnego w społeczeństwie moskiewskiem — tam już wszystko jest dojrzałe, tylko nie w ten sposób, jak pojmuje przegniła Europa, lecz po Aksakowsku. Pałka będzie symbolem nowej ery liberalizmu, co się niniejszem podaje do publicznej wiadomości tych, którzy tęskne oczy zwracają ku Gatczynowi. Ale dajmy pokój szanownym sąsiadom, którzy jak sobie pościelą, tak się i wyspią, a pomówmy o tem, co nas bliżej obchodzi. Oto widzieliśmy szereg akwarel wykończonych przez artystów naszych, jako upominek od kraju dla arcyksięcia Rudolfa w dzień jego zaślubin. — Rzeczywiście będzie to prawdziwie książęcy prezent, przypominający dostojnemu następcy tronu, w jaki sposób Polacy umieją przyjmować na swej ziemi swojego monarchę. Wszystkie te akwarelle przedstawiają różne sceny przyjęcia cesarza podczas zeszłorocznego pobytu Jego w Galicji, a niektóre z nich, szczególniej pędzla p. Juljusza Kossaka, noszą piętno wysokiej artystycznej wartości. Wesele krakowskie, przeciągające przed pałacem pod Baranami i hufiec krakusów, otaczający powóz cesarski na błoniach krakowskich, mają tyle ruchu, malowniczości i werwy, że doprawdy trudno jest oczów od nich oderwać. Dlatego też uważamy za bardzo trafny pomysł naszego Towarzystwa sztuk pięknych, iż jedną

z tych akwarel, wybrało do reprodukcji na premium dla członków swoich. Podobno i pan Trzemeski zdjął fotografje ze wszystkich obrazów, które jak się zdaje ma zamiar wydać na widok publiczny.

Zdaje się, że p. Miłaszewski nie może narzekać na brak sympatji ze strony publiczności lwowskiej. Podczas pobytu pani Święckiej, teatr był przepełniony, pomimo, że wybór sztuczek jednoaktowych podczas ostatniego jej występu, nie był dla nas nowością. Pani Święcka, wybornie potrafiła obudzić w sobie serce, ma się rozumieć na niemiecki sposób, za co zachwycona publiczność nie żałowała jej ani wieńców, ani bukietów, ani oklasków. Szczęśliwa artystka i szczęśliwa publiczność, kochająca się w tych naiwnościach. Ludzie bądź co bądź, zawsze lubią być dziećmi, jeżeli już nie u siebie w domu, to przynajmniej w teatrze...

Z Krakowa dochodzą nas wiadomości, że fundusz na wzniesienie pomnika dla Mickiewicza zapewniony. Jeden z możniejszych mecenasów literackich zapewnił, że dostarczy funduszów ile potrzeba, bez względu czy składki na ten cel zbierane pokryją udzieloną przez niego zaliczkę. Tym sposobem już w niedługim czasie doczekamy się przecie pomnika dla największego z poetów naszych — a groby Wawelu przyjmą jego popioły, które komitet zamierza sprowadzić z Francji. Dotąd nie powzięto jeszcze decyzji, gdzie stanąć ma pomnik w Krakowie. Z Warszawy podnoszą się głosy, aby umieścić go na placu Szczepańskim, któryby przybrał nazwę placu Mickiewicza. Jestto myśl bardzo szczęśliwa, jak również szczęśliwym nazwać możemy projekt, aby do komitetu pomnikowego powołano delegatów z Warszawy, Lwowa i Poznania. Pomnik Mickiewiczowi w Krakowie stawia cała Polska, niech więc w naradach nad jego budową mają udział wszystkie prowincje. Spodziewamy się, że komitet krakowski uwzględni te życzenia, które bezwarunkowo podziela i nasza lwowska publiczność.

MEDYCYNA W POWIEŚCI.

SZKIC

napisał lekarz

LUBOMIR WOLSKI.

Wraz z namiętnościami i moralnemi cierpieniami człowieka, stanowiącemi treść każdej powieści lub tragedji, autorowie musieli także wprowadzić na scenę czysto fizyczne cierpienia. Medycyna przeto i lekarze ważną często grają w powieści rolę, ale po większej części nader fałszywie są przez autorów pojmowane i, co idzie za tem, przedstawiane. Dzisiaj medycyna zastąpiła dawnego *Deus ex machina*; na zawołanie autora, niczem nieumotywowana zjawia się choroba i co dziwniejsza, w miarę potrzeby kończy się nagle wyzdrowieniem lub śmiercią, rzadko tylko stając się przewlekłą (chroniczną). Bohaterzy, a jeszcze częściej bohaterki nie podlegają, podobnie jak zwykli śmiertelnicy, katarom, reumatyzmom, zapaleniom kiszek itp., natomiast nader często cierpią gorączki nerwowe, melancholię, ba, nawet dziwnie łatwo leczący się obłęd. Jedną z częściej przedstawianych w powieści chorób są suchoty płucne, zjawiające się wcale nie wedle prawideł patologii, t. j. w młodym wieku i rozwijające się powoli, ale za to stanowczo, lecz są one posłuszne woli autora, i gdy bohater silniej się zmartwi, już krwią pluć poczyna, już schnie i umiera, chociaż poprzednio w dniach szczęścia nawet zakaszlać nie raczył. Suchoty są w powieści w nieustającym związku ze sprawami sercowemi; zaiste i w anatomji płuca leżą przy sercu i łączą się z niem organicznie, lecz, by zmartwienia i ciosy życiowe były jedynym lub nawet głównym czynnikiem wywołującym suchoty, o tem medycyna dotychczas nic pewnego jeszcze nie wie, tem bardziej, że moralne i psychiczne wrażenia działają na mózg i... dziwcie się, czytelnicy... na kanał pokarmowy znacznie silniej niż na serce i płuca. Gdy człowiek zdrowy pod wpływem zmartwienia dostaje bólu głowy, braku apetytu, wymiotów nawet, są to rzeczy nanaturalne, lecz by krwią pluł lub wpadał w melancholię, na to potrzeba co najmniej odpowiedniej skłonności, a konsekwentny autor powinien był czytelnika przygotować do tego z samego początku powieści, gdy kreślił charakter bohatera. Gdyby poeci i powieściopisarze choć raz jeden widzieli płuca, dotknięte silnie rozwiniętemi suchotami, przestaliby bezwątpienia poetyzować tę smutną, ciężką i wstrętną niemal chorobę.

Nietylko częstość jednej i tej samej choroby bywa nadużywaną; większa część pisarzy nie ma pojęcia o objawach chorób i o sposobie ich leczenia i przeto, chcąc i potrzebując je opisać w swym utworze, popełnia najśmieśniejsze błędy, rażące nie tylko zmysł lekarza, ale każdego niemal czytelnika, który albo sam cierpiał, albo obserwował chorych, i który w tych chorobach chybá nigdy nic poetycznego nie widział.

Za dowód, że nie przesadzam, niech posłużą następujące przykłady, wcale nie wyszukane, lecz nastręczające mi się przy czytaniu pierwszej lepszej powieści. *Janek Korczak* chodzi o złamanej nodze, gdy nagle niebezpieczeństwo tego wymaga; *Szarski* (Powieść bez tytułu) wcale nie jest cierpiącym w chwilach największej materjalnej nędzy, podczas studjów uniwersyteckich; lecz w kilka lat później, gdy pobyt na wsi winien był go pokrzepić, gdy warunki materjalne znakomicie się poprawiły, doznaje on silnego zawodu w miłości, w przyjaźni i... *wpada* w suchoty; rodzice jego i rodzeństwo zupełnie są zdrowi, w pierwszym tomie powieści o fizycznem cierpieniu lub jego zarodku ani wzmianki. W *Półdiablu weneckiem*, Marjetta przyjechawszy z gorącego klimatu Włoch do Polski, nabawia się tutaj melancholji i początków suchot, powraca do rodzinnego kraju, melancholia i... suchoty giną; na to wszystko *cum grano salis* możnaby się jeszcze zgodzić, ale dla czego mąż Marjetty Konrad, przeniósłszy się z zimnej strefy do ciepłych krajów, dokąd prawdziwych suchotników wysyłamy, tam się ich dopiero nabawia?

Oprócz suchot częstem, *powieściowem* (przepraszam za wyrażenie) cierpieniem jest nagle powstająca, po doznanem silnem wrażeniu, gorączka nerwowa, której objawem jest długa nieprzytomność, trwająca kilka dni, a nawet kilka tygodni, zależnie od potrzeby powieściopisarza, i kończąca się zwykle wyzdrowieniem. Co to za choroba, trudno odgadnąć — najpodobniejsza wprawdzie do zapalenia mózgu, lub tyfusu; lecz gdy pierwsze nader rzadko się kończy zupełnem wyzdrowieniem, to drugi aczkolwiek mniej niebezpieczny, nigdy nie zależy od psychicznych wrażeń, a zawsze od zarazy.

Nie chcę mnożyć niepotrzebnie przykładów i rozwlekać tego szkicu; zwrócić jednak muszę uwagę i na lekarzy, którzy po większej części bywają przedstawiani w dziwnem, a nienaturalnem świetle. Występują oni rzadko jako lekarze ciała, natomiast częściej, jako lekarze duszy; bardzo często odgadują oni z tętna, z rumieńca, z zmarszczki na pięknem czole... nie chorobę ciała, nie stan gorączkowy, katar żołądka, zapalenie płuc i t. p., lecz chorobę duszy, o której przyczynach nic nie wiedzą. Tak przedstawiani lekarze mają minę proroków, czarodziejów, lub co najmniej frenologów i fizjonomistów w rodzaju Lavatera i Galla, lecz jakaż szkoda... dla powieściopisarzy, że obu tych uczonych teorje dawno już upadły.

Nie możemy żądać od autora, by dawał nam w powieści wierny szkic przebiegu choroby, lub jej leczenia; nie wymagamy, by powieść była lekarskiem czasopismem, lecz gdy wraz z człowiekiem koniecznem jest wprowadzenie na scenę jego cielesnych cierpień, to ostatnie powinny być oddane z możliwą prawdą, szczególniej w dzisiejszych czasach, starających się wiernie malować naturę jej własnemi barwami, nie zaś farbami bujnej wprawdzie, lecz często przewrotnej fantazji. Dziwne wydają się nam w starych dramatach i powieściach owe czarownice, djabły, nawet rażą już nas i wyszły z mody niespodziewane sukcesje, złotodajni amerykańscy wujaszkowie i podobne cuda; szukamy tylko prawdy, wymagamy dokładnego, psychologicznego rozwoju charakterów bohaterów, konsekwencji w ich czynach, prawdziwego opisu miejscowości, nauk, rzemiosł itp., a więc mamy prawo żądać także wiernego i logicznego przedstawienia cierpień ludzkich i lekarzy. Ludzie, którzy dla napisania powieści nie szczędzą psychologicznych, historycznych i archeologicznych studjów, by jaknajmożliwiej zbliżyć się do rzeczywistości w swych utworach, powinni z równąż sumiennością i prawdą przedstawiać patologiczne stany ciała, tembardziej, że właściwie najmniej choroba da się ująć w ramy fantazji i najmniej podlega rozkazom powieściowych okoliczności.

Prawie nigdy w powieści opisującej życie i namiętności bohatera, nie spotykamy się z chorobą, jako z tak częstem, a jedynie przypadkowem złem, nawiedzającem ludzi w chwilach najnieodpowiedniejszych; w powieści choroba wypływa tylko jako konieczność, jako reakcja ciała na cierpienia serca (powieściowego), albo też zjawia się ona wtedy, i to nadspodziewanie, gdy jest konieczną dla dalszego utrzymania powieści w ruchu, lub też jej zakończenia. Wtedy powieść kończy się śmiercią. Nie przeczę wcale, że silne bodźce psychiczne mają wpływ na ciało, ale zwracam tylko uwagę, że natura działa wedle swoich pewnych praw, a nie przepisów i rozkazów pisarzy, przeto dobrze zrozumiana i przedstawiona choroba nie może grać roli Deus ex machina, jeśli autor nie chce się narażać na niekonsekwencję. Rozumiem dobrze, że takie ścisłe trzymanie się prawdy jest nader uciążliwe dla autorów, że nie raz dla przeprowadzenia ich idej potrzeba niezbędnie jakiejś nadzwyczajności, zwłaszcza gdy plan nie jest tak dokładnie od początku obmyślonym, żeby bez niej powieść mogła się

obejść. Ale tylko też do takich autorów przywilej ten ograniczać się powinien.

Z drugiej znowu strony mamy powieści, których autorzy liczyli się z prawdą w przedstawieniu lekarzy i chorób. Wspomnę dla przykładu *Chybioną powieść, Bolesława Prusa*, w której spotykam dwóch lekarzy, bardzo rozsądnie odwzorowanych, i gdzie choroba Anielki logicznie jest przedstawioną. Mieszka to biedne dziecko w błotach, w niedostatku, pogrążone jest w smutku (bodźce fizyczne i psychiczne), dostaje malarji, która nie zabija odrazu, nie odbiera przytomności, lecz powoli niszczy dziecięcy organizm.

Czytaliście prawdopodobnie to opowiadanie, wszak opis słabości i śmierci dziecka nie jest pedantyczną historją choroby, a jednak, choć z naturą i prawdą zgodny, jak jest pięknym i wzruszającym! Chcecie widzieć rozsądny opis suchot w powieści, przeczytajcie *Kameliową damę, A. Dumas'a*; patrzcie na Małgorzatę, wszak ona jest ofiarą suchot, rozwijających się u niej nie skutkiem zawiedzionej miłości lub innych nadzwyczajnych przyczyn, lecz skutkiem zarodków tkwiących w jej płucach od urodzenia. Dzięki rozwiązłemu jej życiu, a także moralnym wstrząśnieniom choroba powoli się rozwijała i w końcu dobiła bohaterkę. Z rzadką ścisłością przedstawia utalentowany autor przebieg tej choroby, a wszak nie razi on nikogo ani lekarskim pedantyzmem, ani realizmem nazbyt wstrętnym.

Na zakończenie powiedzieć muszę, że ilość przykładów ujemnych dałaby się znakomicie powiększyć, również więcej bym mógł przytoczyć dodatnich, gdybym się nie obawiał szkicu tego zbyt przewlekać.

KRONIKA NAUKOWA.

(Deszcz sztuczny. Nowy karabin pruski.)

Amerykański generał Ruggles, ze stanu Wirginji, podał oryginalny projekt. Projekt ten zależy na sprowadzaniu deszczu według życzenia. Opiera się on na logicznej teorji, jakkolwiek w zastosowaniu, przedstawiałby pewne trudności. Należałoby w środku obłoków sprowadzać wybuchy, za pomocą dynamitu lub innej, silnie wybuchającej materji.

Materje takie, byłyby zawarte w drewnianej skrzynce, zawieszonej u spodu balonu, a explozje wywoływałby się za pomocą lontu lub elektryczności... Autor utrzymuje, że po explozjach, takich np. jak salwy artylerji, często następują deszcze.

Zauważmy jednak, że explozje, wywołane w sferze obłoków, wśród powietrza rozrzedzonego, nie miałyby tej siły, co na powierzchni ziemi. Oprócz tego, jakim sposobem podczas istniejącego wiatru, możnaby było utrzymać na sznurze mały balon w położeniu prostopadłem?

Generał Ruggles przypomina, że jego myśl jest w zgodzie z myślą fizyka Espy, który dla sprowadzenia deszczu proponował rozpalanie wielkich ogni. Celem tych ogni było wzniesienie kolumny ciepłego powietrza, ażeby, jeżeli w górze nad ogniskiem powietrze było spokojne i wilgotne, kolumna ta ciepła wpłynąwszy do strefy zimnej, zgęścić mogła wodę.

Temperatura warstw wyższych, w których unoszą się chmury w rodzaju *Cirrus*, oznaczoną została przez Buchana na — 40. Widocznem jest z tego, że gdy massy ciepłe i wilgotne warstw niższych, dostaną się do wyższych, na działanie polarnego zimna, musi nastąpić zgęszczenie się par, skutkiem czego następuje deszcz.

Oczywiście, generał Ruggles nie może myśleć o sprowadzeniu w wyższych warstwach powietrza, podobnych wstrząśnień, jakie sprowadzają salwy artylerji podczas bitwy. Jednakże rozrzedzenie powietrza wynikłe z wybuchu kilku funtów dynamitu, wśród chmur, wystarczyłoby może do wywołania prądów wstępnych i zstępnych, z przeciwnemi warunkami hygrometrycznemi, których starcie, mogłoby sprowadzić zgęszczenie wody w chmurach.

Ruch wstępny powietrza wilgotnego, jak to niedawno wykazał dyrektor austrjackiego biura meteorologicznego, dr. Ham, musi być uważany jako najobfitsze źródło spadającego deszczu: projekt więc amerykańskiego meteorologa, nie ma innego celu, jak do, pomaganie naturze.

W krajach rolniczych, gdzie, wśród długotrwałej posuchy, kilka niewielkich nawet ulew jest dobrodziejstwem, możnaby podany przez gen. Ruggles sposób wypróbować.

* * *

Nowy karabin pruski jest repetierem, który daje 12 strzałów na 24 sekundy, i który obok tego da się używać jako jednostrzałowy.

Cel ten osiągnięto przez skrzyneczkę blaszanną na kule, ważącą 350 gramów i mieszczącą w sobie 11 kul.

Skrzyneczka ta może być dowolnie wkładaną lub wyjmowaną, i działa automatycznie podczas otwierania i zamykania komory karabinu. Gdy się komorę otwiera, kula w nią wpada, gdy się zamyka, druga kula umieszcza się sama w ten sposob, ażeby mogła wpaść we właściwe miejsce, gdy się komorę otworzy.

Żadna oddzielna czynność nie jest tu potrzebną. Skrzyneczka może być zastosowaną do każdego karabinu nabijanego z tyłu, pod warunkiem, ażeby ten miał zamknięcie cylindryczne. Tym sposobem otrzymuje się karabin repetier.

Ażeby napełnić na nowo skrzyneczkę, nie potrzeba jak 15 sekund. Gdy ta jest pełną, żołnierz może ją nosić oddzielnie lub włożyć do karabinu. Tam zajmuje ona w komorze na kule stosowne miejsce, w ten sposób, że ciężar jej przypada na punkt najdogodniejszy, na środek ciężkości karabinu, który przy tem nie traci przez ten dodatek żadnego przymiotu broni szybkostrzelnej.

Rzecz godna uwagi, że autorem tego udoskonalonego morderczego narzędzia, jest p. Lieve, członek pruskiego stronnictwa postępowego i delegat tegoż stronnictwa do t. z. Ligi pokoju.

W tym to wypadku można powiedzieć: *si vis pacem, para bellum.*

TEATR.

Napomknęliśmy nawiasowo w ostatniej recenzji, że *Kiejstut*, tragedja Asnyka, miłe na słuchaczach wywarła wrażenie, jednakże ztąd bynajmniej jeszcze nie wynika, jakobyśmy tę sztukę pod względem jej wartości bardzo wysoko stawiali.

Kiejstut mimo prześlicznego języka i porywającej dykcji, zasługuje pod względem swej scenicznej budowy, a nawet pod względem rysunku niektórych charakterów, na dość ostrą krytykę.

Autor, wysunąwszy na pierwszy plan postać Kiejstuta, sam sobie zagrodził drogę do wyzyskania wielu efektów, gdyż przedstawia go nam jako zbyt dobrodusznego, mimo lwiej w boju odwagi, łatwo lada podszeptom ulegającego starca. Taki zaś Kiejstut nigdy nie może się wznieść do wysokości prawdziwie tragicznego bohatera. Nie możemy się też w nim dopatrzyć owego ostatniego reprezentanta pogańskiej Litwy, męża silnej ręki, a jeszcze silniejszej woli, jakim Kiejstut musiał być w istocie, lub jakim się go domyślamy, skoro własny brat Olgierd, tak wysoko cenił jego energję, iż dobrowolnie powierzył mu obronę także i swej dzielnicy. Niesnaski między Kiejstutem a jego synowcem Jagiełłą, które mają stanowić tło całej sztuki, także nie zostały wyzyskane dość efektownie. Kiejstut nie ginie za wolą spiskującego z Krzyżakami Jagiełły, nie pada ofiarą swych zasad, ale ofiarą mściwej a w swych prywatnych ambicjach zranionej przez niego kobiety. Nie wchodzimy w to bynajmniej, ażaliby to było zgodne lub niezgodne z historją, bo sztuka dramatyczna ma pod tym względem swój odrębny kodeks, uświęcony przez pierwszorzędnych dramaturgów, a dozwalający nawet znacznych zboczeń w wysnuciu psychologicznych wyników, skoro tylko działające charaktery zgodnie z prawdą dziejową zostały przeprowadzone. Nadto Kiejstut ginie, wcale nie w chwili podjęcia jakichś wielkich zamiarów, ale wtenczas, kiedy już sam, znękany życiem, radby je jak najrychlej śmiercią zakończyć. Jest on więc raczej biernem ucieleśnieniem tego fatalizmu dziejowego, ciążącego nad upadającemi narody, ale nie bohaterem pełnym poświecenia, okupującym za każdą cenę — wszystko jedno — śmierć albo zwycięstwo. Taki Kiejstut budzi wprawdzie współczucie, ale nie porywa, nie nastręcza też drugim współdziałającym na scenie sposobności do odporu, a w tem leży już jedna z głównych przyczyn leniwej akcji i niescenicznego układu.

Dwie inne historyczne, na scenę wyprowadzone postacie, Witołda i Jagiełły, pozbawione są prawie zupełnie historycznego kolorytu. Do rozwinięcia tak wdzięcznego dla dramaturga charakteru namiętnego Witołda nie ma okazji, gdyż autor przesuwa go tylko epizodycznie przez scenę. Jagiełło jest bezwłasnowolnym manekinem w rękach swego zausznika Wojdyłły i swej siostry Marji. Tych dwoje ludzi zatem bierze na swe barki całą akcję, której Jagiełło jest tylko figurantem w purpurowy płaszcz odzianym, i dla tego też Wojdyłło i Marja, wydobywszy się z drugiego planu, przerastają nagle nawet samego Kiejstuta i oni to właściwie stają się bohaterami tragedji. Są to istotnie najlepiej pomyślane i wykonane postaci, lecz niestety autor już w drugim akcie każe ginąć Wojdylle i znów pozbawia się dobrowolnie sprężyny, która sama jedna mogła doprowadzić rzecz do należytego napięcia tragicznego. Dzięki temu akt III jest już tylko piękną, poetyczną panoramą, nie posuwającą akcji ani o jeden krok naprzód, a dwa ostatnie przechodzą bez wywołania głębszego wrażenia. Konrad, po którym, popsuci przez Mickiewicza, spodziewaliśmy się bardzo wiele, wypadł najsłabiej; zaczyna on żyć i działać dopiero w tej

chwili, kiedy spuszczają zasłonę poraz ostatni, a widz, do żadnych w tym kierunku nie doprowadzony wniosków, mimowoli po skończeniu tragedji przypomina sobie odnośne słowa Adama:

«Niechaj ją anioł harmonji w niebiosach
A czuły słuchacz w duszy swej dospiewa».

Nie o wiele lepiej wypadła Aldona.

Jeżeli do tego dodamy, że lokalne motywowanie akcji jest słabe, wyniknie ztąd, że *Kiejstut*, czyniący nieposlednie wrażenie w czytaniu, wiele traci w przedstawieniu scenicznem; jest on więc prześlicznym poematem o dramatycznej formie, ale nie tragedją historyczną w istotnem tego słowa znaczeniu.

Co do gry artystów, zasłużyli na wszelkie uznanie pp. Zboiński (Kiejstut), Podwyszyński (Wojdyłło), tudzież panie Nowakowska (Marja) i Parźnicka (Aldona). Dlaczego rolę Biruty odegrała p. Gostyńska a nie p. Aszperger, nie pojmujemy. Konrad (p. Webersfeld) i Kuno (p. Pieniążek) były to istotnie, mówiąc z Mickiewiczem —

« . . . . chłopy
Od wszystkich naszych ogromniejsze ciałem,
Żelazem kute od głowy do stopy»;

Butrym (p. Guberski) także sobie nie ułomek, niby jeden z synów Budrysa, ale czy wszyscy, mimo tej z prawdą historyczną zgodnej gigantyczności kształtów, dorośli swemu zadaniu — to inna kwestja, szczególnie raziła nie zawsze dobrze do przebiegu sprawy zastosowana deklamacja; Halban, ów przez Mickiewicza w ludzką postać wcielony opiekuńczy geniusz ciemiężonego narodu, już przez samego autora jest po macoszemu traktowany a w p. Galasiewiczu znalazł nadto ojczyma! Inne role blado napisane, były też i blado odegrane. Natomiast wystawa sztuki, jakeśmy to już dawniej wzmiankowali, była bardzo staranna i pod każdym względem świetna.

Pani Popiel-Święcka występowała jeszcze w komedjach *Mały człowiek do wielkich interesów* i *Zbudziło się w niej serce*. Za każdym razem, krótko mówiąc, grała znakomicie, szkoda tylko, że pominąwszy *Poczciwych wieśniaków*, dwa inne wyżej nazwane utwory, jednym już krokiem po za rolę pani Święckiej, przedstawiają bardzo małą wartość sceniczną.

W *Zemście*, w roli Papkina występował jako gość artysta-emeryt teatru warszawskiego P. Chomiński. Widać, że musiał on być niegdyś wybornym Papkinem, dziś porobił już czas znaczne szczerby w tej kreacji.

Widocznie dla niedzielnej przeznaczony publiczności, pojawił się także na scenie *Marnotrawca*. Pozwalamy sobie zwrócić uwagę Dyrekcji, że co było dobre za czasów Kamińskiego, nie koniecznie i dziś ma się takiem wydawać, podobnie jak też nie każdy, kto może przed kilkunastu laty jako aktor zbierał oklaski, ma i dziś po długiej pauzie liczyć na powodzenie. Spodziewamy się, że Dyrekcja uzna słuszność tych dwóch uwag i uwzględni je w przyszłości.

Szereg operetek rozpoczął »*Sinobrody*,« w którym w roli króla Bobesza wystąpił z powodzeniem świeżo zaangażowany p. Myszkowski; dobrze odśpiewała swą rolę także panna Weitz. Operetka rozwinie się jednak dopiero w pierwszej połowie maja, po zupełnem wyzdrowieniu pani Skalskiej i po powrocie z Poznania z gościnnych występów pana Skalskiego. Pierwszą nowością w tym kierunku będzie *Juanita*.

Tymczasem zachwycamy się występami goszczącego u nas pana Rapackiego. Sprawozdanie z jego występów w *Safandułach*. *Panie kochanku*, *Narcyzie Rameau* a prawdopodobnie także w komedji Fredry syna *Ubogi czy bogaty*, odkładamy do przyszłego numeru.

R. St.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** W Warszawie wyszła z druku książeczka do nabożeństwa dla dzieci przez J. N., pod tyt. „Myśli wyjęte z księgi natury“.

Praca ta, naśladowana z francuskiego, jest, jak sam tytuł wskazuje, zbiorem westchnień pobożnych, budzących się na widok cudów stworzenia.

Cel modlitwy połączono tu z pedagogicznym, w młodocianym czytelniku bowiem powstaje pojęcie o całem otoczeniu, wśród którego żyje, w związku ze Stwórcą.

Autor dodał kilka modlitw oryginalnych i wierszy Karpińskiego.

Książeczkę zdobią sztychy, na których niewłaściwie zachowano tekst francuski.

Język czysty i styl poprawny są ozdobą prawdziwą tej publikacji.

*** Pan Józef Sosnkowski, b. urzędnik b. mennicy warszawskiej, wydał pod tytułem: „Złoto, srebro i drogie kamienie,“ podręcznik dla pragnących obeznać się z wartością i próbą złota i srebra w monecie i w wyrobach oraz z wartością drogich kamieni.

Jakkolwiek praca p. Sosnkowskiego ma charakter specjalny, zawiera ona jednak w sobie wiele wiadomości praktycznych a mogących zainteresować szersze koła publiczności.

*** Przed kilkoma dniami ukazała się w Warszawie książka p. t. „Paryż po zmierzchu czyli nocne życie paryskie“.

Jest to przekład »*Paris after dark*« niewiadomego autora, dokonany z 5. wydania przez p. Teofila Nowosielskiego.

Tłómacz powiększył tę pracę oryginalną częścią p. t. „Zewnętrzna historyczna strona Paryża“, która zajmuje 47 stronnic druku.

Całość czyta się przyjemnie i dla niejednego udającego się do „nowożytnego Babilonu“ może być pożyteczną.

*** Odczyty dra Juljana Ochorowicza „O bólu, ze stanowiska psychologji, pedagogiki i etyki“ miane w Krakowie, ukażą się wkrótce w czasopiśmie *Muzeum*.

*** Wiadomo, że hr. Wiktor Baworowski wydał w Tarnopolu wyjątki ze swojego przekładu „Don Juana“ Byron'a.

Praca ta, wywołała uznanie w prasie zagranicznej, a mianowicie wystąpiły z pochwałami: *Magasin f. d. Literatur des Auslandes* oraz wiedeńska *Sonn-und Montags-Zeitung*.

*** Na mocy dokonanych wyborów, na vice-prezesa komitetu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie, powołany został hr. Konstanty Przeździecki.

*** Leopold Horowitz kończy obecnie wielki portret Andrzeja Zamojskiego, malowany według fotografji i osobistych wspomnień artysty.

*** W liczbie obrazów, wystawionych ostatniemi czasy w Wiedniu, znajdowało się także o dużych rozmiarach płótno młodego naszego artysty p. Aleksandra Mroczkowskiego, zwracające na siebie powszechną uwagę, a przedstawiające kulig wiejski w dawnych czasach.

*** Opera Żeleńskiego „Konrad Wallenrod“ postępuje.

Kompozytor ukończył już trzy akty, obfitujące w mnóstwo pięknych i wielce oryginalnych pomysłów, do których znajduje bogate pole w librecie, nader zręcznie napisanem na tle poematu Adama.

Będzie to dzieło prawdziwego natchnienia, pełne poezji i porywające prawdziwą, szlachetną siłą dramatyczną.

*** W Paryżu ukazała się już nakładem Choudena, partytura najnowszej opery Gounoda „Le Tribut de Zamora“. Kompozytor otrzymał podobno za nią 100,000 franków. Partyturę „Fausta“ sprzedał Gounod w swoim czasie za 10,000, a „Romea i Julji“ za 15,000 franków.

Społeczne i ekonomiczne.

*** W spawie pomnika Mickiewicza, dzienniki Warszawskie piszą:

Zamierzone uczczenie pomnikiem w Krakowie nieśmiertelnego naszego piewcy, Mickiewicza, nastręcza obecnie wątpliwości w wynalezieniu odpowiedniego na to miejsca w starożytnej Jagielonów stolicy.

Nasuwa się więc myśl, czyby nie należało taką wybrać miejscowość, w któreјby obok poety Adama stanęły kiedyś pomniki dla Zygmunta i Juljusza, tej wspaniałej trójcy w dziedzinie naszej poezji.

Nie należy bowiem wątpić, że w przyszłości, po utrwaleniu w spiżu pamięci Mickiewicza, jeżeli już nie my, to przynajmniej bliska potomność odda takiż hołd Krasińskiemu i Słowackiemu!

*** *Gospodyni wiejska*, znane pismo gospodarstwu domowemu poświęcone, zamieściła w tym przedmiocie pożyteczne informacje dla gospodarzy, przyczem zwróciła uwagę na nowy artykuł wywozowy, jakim mogą być zasuszane ziemniaki, dla producentów bardziej oddalonych od targowic miejskich.

Zdaniem pomienionego pisma, zasuszane ziemniaki mają być nadto jednym ze środków zapobiegających klęskom głodowym w latach nieurodzaju.

Okazy zasuszanych ziemniaków, łatwym i niekosztownym sposobem, bez pośrednictwa użycia ognia, czyli ogrzewania, warszawianie oglądają w redakcji *Gospodyni wiejskiej*.

*** Do właściwości amerykańskich należy niezawodnie papierowe wesele.

Jeden z dzienników zagranicznych pisze z powodu tej okoliczności:

„W wielu krajach obchodzone jest po 25-latach pożycia małżeńskiego — papierowe wesele, a po latach 50-złote.

Dla amerykan nie wystarcza to, i dla tego ustanowili oni po jednorocznem pożyciu małżeńskiem wesele cukrowe, po dwuletniem — papierowe, po pięcioletniem — drewniane, po dziesięcioletniem — żelazne, po piętnastoletniem — cynowe, po 20-letniem — mosiężne wesele...

Piszący te słowa znajdował się raz na weselu drewnianem, gdzie goście ofiarowywali parze jubilatów różnego rodzaju sprzęty drewniane, jak stołki, stoły i t. p.

Na odbywającem się zaś w tych dniach weselu papierowem pewnego dziennikarza kalifornijskiego, wszyscy goście ubrani byli w ładnie ozdobione czapki papierowe.

Pomiędzy darami znajdowały się obrazy, książki, serwetki papierowe i t. p.“

Z Drukarni „Gazety Narodowej“

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.